GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LUTEGO 1938 R.
Nr. 3 ROK VIII

GRANICE KOMPROMISU
STEFAN PIEŃKOWSKI

ZESPOŁY
ST. RZĘBOWSKI

USPOŁECZNIONY DOCHÓD SPOŁECZNY
ANDRZEJ SKALSKI

U W A G I
DEMOTORYZACJA NA CHŁODNO
SYSTEM PRAKTYK HANDLOWYCH
SPARALIŻOWANY WĘZEŁ

N O T A T K I
PRYMITYWIZM I DEMAGOGIA
RYBIA POLITYKA
PRECZ
BADANIA NAUKOWE
REKLAMA NEGATYWNA

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 3
1938 R.
1 — II

STEFAN PIEŃKOWSKI

GRANICE KOMPROMISU

Kompromis w polityce gospodarczej jest nieuchronny. Im mniej kompromisów przypadkowych i sprzeczności wewnętrznych, tem lepiej. Okres poprawy koniunktury nadaje się w większej mierze niż okres kryzysu do zestrajania polityki gospodarczej w bardziej zwarty i jednolity całokształt.

Polityka gospodarcza jest przede wszystkim sztuką kompromisu. Twierdzenie to nie ma bynajmniej na celu podważania czy osłabiania postulatów takich, jak dążenie do wyraźnej hierarchii celów, do eliminowania z polityki gospodarczej działań ze sobą sprzecznych, itd. Postulaty tego rodzaju — które wszystkie dają się zmieścić w określeniu „planowość i jednolitość polityki gospodarczej" — stoją poza wszelkim sporem. Tem niemniej jednak w wielu wypadkach owa hierarchia celów nie daje się osiągnąć inaczej, jak właśnie na drodze pewnego dość przypadkowego kompromisu, w innych zaś znowu polityk gospodarczy może być wręcz zmuszony do pogodzenia się z współistnieniem działań, sprzecznych pod pewnym kątem widzenia. Polityka gospodarcza wyrasta na tle potrzeb i postulatów, dla których nieraz nie podobna znaleźć wspólnej jednolitej płaszczyzny oceny.

Klasycznym zupełnie przykładem pod tym względem jest zagadnienie potrzeb obrony z jednej, a całokształtu potrzeb czysto gospodarczych z drugiej strony. Bezkompromisowe, zdecydowane uzgodnienie tych dwóch celów działania możliwe jest tylko wtedy, kiedy niebezpieczeństwo wojenne występuje zupełnie bezpośrednio, to znaczy w przededniu lub podczas wojny, albo też wtedy, kiedy niebezpieczeństwo to jest tak odległe, iż może być uważane za praktycznie nieistniejące. W pierwszym wypadku całkowitą supremację zyskują cele wojskowe, a momenty gospodarcze wyrażają się tylko w postulacie, by cele wojskowe realizowane były w sposób możliwie najmniej obciążający procesy gospodarcze, w każdym razie jednak bez rezygnacji z jakiejkolwiek cząsteczki zadań wojskowych. W drugim wypadku supremacja przypada celom czysto gospodarczym, w myśl rozumowania, iż maksymalny rozwój produkcyjny, niezakłócony żadnym doraźnym ściganiem tych celów obronnych, które w danym momencie nie stanowią pewnej korzyści gospodarczej, *na bardzo długiej fali* daje najlepszy efekt również i z punktu widzenia potrzeb obrony. Najczęstszą jednak sytuacją jest sytuacja trzecia. Ewentualność wojny nie daje się nawet w przybliżeniu określić co do czasu, nie może być jednak uznana za ewentualność czysto teoretyczną. I wtedy nie ma innej drogi, jak racjonalny kompromis, podporządkowanie celów gospodarczych określonym celom obronnym, odroczenie zaspokojenia pewnych potrzeb obronnych, zbyt już kosztownych. Kompromis ten jest ułatwiony przez fakt, że oczywiście tylko w pewnej liczbie wypadków cele obronne wymagają działań, stanowiących obciążenie życia gospodarczego, (np. tworzenie takiej rezerwowej zdolności wytwórczej w jakiejś dziedzinie produkcji, która w warunkach pokojowych w

żadnym razie wyzyskana nie będzie), w wielu natomiast wypadkach uwzględnienie w polityce gospodarczej celów obronnych polegać będzie na wyborze pomiędzy dwoma ewentualnościami o podobnym walorze gospodarczym, lecz o różnym znaczeniu z punktu widzenia obronnego. Kompromis jako punkt wyjścia dla ustalenia hierarchii celów, jest regułą wtedy, kiedy polityka gospodarcza ma pogodzić ze sobą cele gospodarcze i wszelkiego rodzaju cele pozagospodarcze, nieraz jednak i w zakresie hierarchii celów czysto gospodarczych innego rozstrzygnięcia, jak drogą kompromisu, znaleźć nie można.

Nie jest to jedyne źródło pewnych nieuchronnych sprzeczności w polityce gospodarczej. Polityka gospodarcza ulega modyfikacjom stopniowym. Niezmiernie rzadko mamy do czynienia z czemś, co można by nazwać całkowitym zwrotem tej polityki. Zilustrujmy to na przykładzie. Jeśli np. pewien kraj z tych lub owych przyczyn dąży do uzyskania określonego podziału dochodu społecznego pomiędzy poszczególne grupy zawodowe, a w pewnym momencie stwierdzi, że udział pewnej grupy zmalał w sposób niepożądany, to ma on dwie drogi do wyboru. Albo zrewidować całość środków, wpływających na podział dochodu społecznego, a więc cła, podatki, itd., albo też uruchomić jakiś jeden środek, działający w kierunku przeciwstawnym do pozostałych. Taki charakter miały np. premie wywozowe dla zbóż. Można było w zasadzie dążyć do poprawienia sytuacji rolnictwa przez usunięcie całego zespołu czynników, działających na niekorzyść rolnictwa w zakresie podziału dochodu społecznego, a więc np. w pierwszym rzędzie obniżyć cła przemysłowe, można też było przeciwstawić zespołowi czynników, stworzonych w innej sytuacji, nowy czynnik, tym razem przesuwający dochód społeczny na rzecz rolnictwa. Z pewnością pierwsze rozwiązanie byłoby w zasadzie słuszniejsze, gdyż współistnienie działań sprzecznych na pewno ciąży na wielkości dochodu społecznego, (w danym wypadku współistnienie ceł przemysłowych i premii eksportowych dla rolnictwa podtrzymywało w Polsce poziom cen wyższy od światowego). Z drugiej jednak strony pójście po tym torze wymagałoby działań złożonych i oddziaływujących powolnie, co dałoby konsekwencje jeszcze bardziej ujemne, niż tolerowanie wewnętrznej sprzeczności w polityce gospodarczej. Motywacją, i to nieraz bardzo przekonywującą, zastosowania działań sprzecznych, jest przede wszystkim potrzeba osiągnięcia szybkiego, doraźnego afektu. Ale ponadto w grę wchodzą jeszcze inne przyczyny. Na przykład dwa posunięcia mogą działać w tym samym kierunku pod kątem celu A, natomiast ich rola z punktu widzenia celu B może być zupełnie rozbieżna. Jeśli cel A ma charakter nadrzędny w stosunku do celu B, współistnienie działań sprzecznych będzie w tym wypadku nieuniknione.

* * *

Planowość i jednolitość polityki gospodarczej stanowi w świetle uwag powyższych pewien stan idealny, w praktyce bardzo trudno i nie w pełni osiągalny. Skoro jednak potrzeba dążenia w tym kierunku stoi poza sporem, to warto zastanowić się, jakiemi drogami zdążać można do osiągnięcia wyższego stopnia planowości i jednolitości, co chronić może przed mnożeniem działań sprzecznych, kompromisów przypadkowych. Wydaje się, że na pierwszy plan wysunąć trzeba postulat pozornie niesłychanie prymitywny. Mianowicie polityka gospodarcza nie powinna stawiać sobie zbyt wielu celów. Jeśli tych celów jest wiele, to mogą one być w pewnym punkcie czasowym znakomicie sharmonizowane, natomiast przemiany polityki gospodarczej, przemiany, która w pewnym sensie stanowią proces żywiołowy i niekiedy tylko wyrażają się w szerokiej rewizji polityki, a najczęściej mają charakter zmian odcinkowych, prowadzić muszą do narastania sprzeczności. W interesie sprawnego działania całokształtu polityki gospodarczej wskazana jest rezygnacja z celów drugorzędnych. Drugi postulat o podobnym charakterze, to zadawalnianie się mniejszym stopniem realizacji danego celu wtedy, gdy osiągnięcie wyższego efektu wymagałoby działań bardziej złożonych, a przez to samo trudniejszych do stałego kontrolowania. Trzeci wreszcie, to periodyczne rewidowanie polityki gospodarczej danego kraju nie tylko pod kątem uwzględnienia nowych potrzeb walki o nowe cele, lecz również pod kątem usuwania z repertuaru działań polityczno - gospodarczych tych, które straciły na znaczeniu, wykazały swą małą płodność lub stanęły w sprzeczności z innymi donioślejszymi. Postulat ten jest pozornie, ale też tylko pozornie sprzeczny z postulatem stałości polityki gospodarczej, stanowiącym niewątpliwą potrzebę życia gospodarczego.

Pojmowanie stałości polityki jako utrzymywania tych samych zarządzeń w zmienionych warunkach, jest na pewno najbardziej mechaniczną wykładnią pojęcia stałości. Przeciwnie, stałość warunków pracy dla jednostek gospodarujących wymaga niemal ustawicznego uwzględniania w polityce gospodarczej zmian, zachodzących w całokształcie układu stosunków.

W naszej polityce gospodarczej jedną z prób ujednolicenia i wewnętrznego uzgodnienia tej polityki był okres, kiedy to na przełomie 1935/36 roku dokonana została seria posunięć, mających na celu zamknięcie i wykończenie wieloletniego procesu obniżania cen związanych, uruchomienie robót inwestycyjnych i wprowadzenie bardziej jednolitych kryteriów w zakresie całości transferu. Bez względu na to, jakiemu kierunkowi myśli polityczno-gospodarczej się hołduje, trzeba przyznać, iż w owym okresie zniknęły pewne jaskrawe dysproporcje, takie, jak np. niekrępowany transfer z tytułu zobowiązań finansowych przy jednoczesnym bardzo silnym krępowaniu obrotu towarowego. Poprawa koniunktury pozwoliła w dalszym ciągu usunąć niektóre działania pozostające w wewnętrznej sprzeczności z innymi, zmniejszając równocześnie tak dotkliwą dysproporcję, jaką było i jest zresztą nadal w mniejszej mierze rozwarcie nożyc cen przemysłowych i rolnych.

Sądzę, że tego rodzaju przebieg jest dosyć typowy. W okresie kryzysu słusznie czy niesłusznie zwycięża postawa „nie czas żałować róż gdy lasy płoną", co niestety praktycznie wyraża się w poświęca-

niu wewnętrznej zgodności i logiki polityki gospodarczej na rzecz ważnych choć doraźnych efektów. Poprawa koniunkturalna, usuwając niektóre dotkliwe bolączki, pozwala rezygnować z niektórych działań doraźnych, a równocześnie umożliwia wysunięcie celów wyższego rzędu, wnoszących pewne ogólniejsze wytyczne do całokształtu polityki.

Takim celem występującym z każdym miesiącem coraz wyraźniej, jest przyśpieszenie procesów inwestycyjnych. Wydaje mi się, iż w warunkach polskich nie sposób inaczej określić naczelny cel naszej polityki. Jest to cel, który narzuca się sam przez się dla kraju spóźnionego w rozwoju gospodarczym, dla kraju, w którym najszczęśliwszy nawet podział dochodu społecznego nie jest w stanie zapewnić szerokim masom znośnej stopy życia, dla kraju, który musi podporządkować postulat lepszego zaspokojenia potrzeb bieżących postulatowi wytworzenia większego dochodu społecznego w bliższej czy dalszej przyszłości.

ów naczelny cel naszej polityki jest bez wątpienia realizowany z dużym naciskiem i energią w drodze działań bezpośrednio do niego prowadzących, takich, jak przede wszystkim plan inwestycyjny. Nie sposób było by jednak twierdzić, ażeby całość naszej polityki była w pełni nacechowana tym samym założeniem. Weźmy jako przykład politykę importową. Rzesza Niemiecka z całą świadomością przekłada zaspokojenie potrzeb zbrojeniowych nad zaspokojenie niektórych innych potrzeb, woli armaty, niż masło. W naszej polityce importowej nie tylko kontyngentowej, lecz również celnej, warunki importu dla surowca tak par excelence konsumcyjnego, jak wełna lub bawełna, są korzystniejsze, niż dla importu o charakterze czysto inwestycyjnym, importu maszynowego. System ulg podatkowych dla budownictwa mieszkaniowego wyraźnie uprzywilejowuje zaspokojenie potrzeby konsumcyjnej w stosunku do inwestycyj produkcyjnych. Gdybyż przy tem ulgi te były skoncentrowane wyłącznie na mieszkaniach najmniejszych, robotniczych. Mielibyśmy wtedy przynajmniej prawo twierdzić, że w imię doraźnej potrzeby społecznej odchylamy się od pionu naczelnej wytycznej polityki gospodarczej. Wiemy jednak, że jest inaczej. Słusznym skądinąd wysiłkom w kierunku wzmożenia planu inwestycyjnego nie towarzyszy równoległe rozwiązywanie tych spraw, które decydują o rozmiarach procesów inwestycyjnych w niektórych dziedzinach (takich jak np. rolnictwo), które z natury rzeczy iść musi po drodze drobnych rozproszonych nakładów w poszczególnych warsztatach rolnych, a więc nakładów, nie nadających się do finansowania poprzez plan inwestycyjny. Nie mnożymy dalej przykładów, podkreślamy natomiast, że w przytoczonych wyżej przykładach siłą rzeczy popadliśmy w jednostronność, nie uwzględniając faktu, iż „polityka gospodarcza jest sztuką kompromisu" i że pełna jednolitość działania jest prawie że nieosiągalna. Sądzimy jednak, iż przykłady powyższe wystarczają do wykazania, iż w naszej praktycznej sytuacji osiągnięcie wyższego stopnia realizacji naczelnego celu, t. zn. przyśpieszenia procesów inwestycyjnych, możliwe jest w znacznej mierze nie na drodze dodatkowej mobilizacji środków pieniężnych, na cele planu inwestycyjnego, lecz w drodze zrealizowania takich postulatów, jak rezygnacja z celów drugorzędnych, rewizja przerostów i pozostałości, odziedziczonych po polityce gospodarczej poprzednich okresów. Sądzimy zresztą, że tego rodzaju porządkowanie polityki gospodarczej jest jednym z typowych zadań okresu poprawy koniunkturalnej, w przeciwieństwie okresu kryzysu, kiedy to jak wspomnieliśmy wyżej pod naporem wyraźnych konieczności „zaśmieca się" politykę gospodarczą.

ST. RZĘBOWSKI

ZESPOŁY

„...Stworzenie zespołów przemysłowych jest o tyle celowe i pożądane, o ile istnieje decyzja, wola i możność konsekwentnego prowadzenia polityki interwencyjnej o wyraźnie zakreślonych celach, środkach i zakresie".

Projekt utworzenia przymusowych organizacyj branżowych oceniany jest na łamach prasy jako koncepcja o bardzo zasadniczym znaczeniu, zaczepiająca o ustrój Państwa. Rzeczywiście, w porównaniu z ustrojem liberalnym, gdzie pojedyńczy przedsiębiorca posiada maximum swobody indywidualnej i niezależności w swych decyzjach i ich wykonywaniu, w porównaniu do takiego ustroju, koncepcja podporządkowania poszczególnych działów produkcji jakiemuś czynnikowi centralnemu — wyglądać musi rewolucyjnie.

Ale czy taki ustrój liberalny *rzeczywiście* w Polsce istnieje? Czy pojedyńczy przedsiębiorca rzeczywiście posiada nieskrępowaną możność prowadzenia swej własnej polityki produkcji, zbytu, cen, warunków, wymiany, obrotów zagranicznych, zużycia surowców, zatrudnienia, warunków pracy itd., tj. decydowania w tych sprawach, które miałyby być podporządkowane związkom przymusowym. Przypomnijmy, iż kartele w najważniejszych dziedzinach wytwórczości zagarnęły kontrolę produkcji, zbytu i cen zarówno w samych przedsiębiorstwach skartelizowanych, jak i tych, które są od nich gospodarczo uzależnione. że obroty zagraniczne ujęte są w bardzo skutecznie działającą sieć różnorodnego typu reglamentacyj, na skutek czego nieomal żadnej tranzakcji importowej lub eksportowej nie można dokonać bez uzyskania placet różnych komórek administracyjnych. że polityka zużycia surowców jest ściśle regulowana nie tylko w dziedzinie importu, lecz również odnośnie najważniejszych surowców krajowych. że wreszcie ustawodawstwo socjalne w sposób bardzo daleko idący ograniczyło swobodę przedsiębiorcy w stosunku do jego pracowników. Nie potrzeba cytować szczegółowych dowodów, aby twierdzić z zupełną oczywistością, że we wszystkich dziedzinach, w których działałyby projektowane związki przymusowe, już obecnie swobodna decyzja indywidualnego przedsiębiorcy jest *bardzo silnie* ograniczona na rzecz różnych czynników nadrzędnych i przy użyciu różnych urządzeń prawnych i organizacyjnych. Dlatego też twierdzić możemy, że uruchomienie owych związków przymusowych zmieniłoby polską „rzeczywistą rzeczywistość" gospodarczą w znacznie mniejszym stopniu, aniżeliby to się napozór zdawało. Byłby to raczej jeden z etapów ewolucji, zachodzącej w formach organizacyjnych życia gospodarczego, zresztą powiedzmy odrazu, że etap bardzo zasadniczy, może aż przełomowy — ale napewno etap oddawna trwającej ewolucji, a nie żadna rewolucja.

Działalność interwencyjna wykonywana przy pomocy „zespołów" mogłaby być bardzo szeroka, a tem niemniej swoboda decyzji przedsiębiorcy mogłaby nie być zwężona w porównaniu do istniejącego obecnie stanu rzeczy. Wydaje się nam nawet wielce prawdopodobne, że ewentualne utworzenie tych zespołów nie oznaczałoby *rozszerzenia zakresu* interwencji czynnika publicznego w życiu gospodarczym — natomiast pojawiłyby się formy organizacyjne, specjalnie dostosowane do działalności interwencyjnej, kto inny by interwencję wykonywał, a zatem i inaczej, innymi środkami by ją wykonywał.

Jest rzeczą ze wszech miar prawdopodobną *(ale nie konieczną)*, że istnienie specjalnego systemu organizacyjnego dla wykonywania polityki interwencyjnej oznaczać by musiało utrwalenie tej polityki, uczynienie jej konsekwentną i bardziej wyraźne niż to jest dzisiaj określenie jej zasięgu, celów i środków. Inaczej trudno byłoby uzasadnić, poco te „zespoły" mają powstać, boć powstanie nowych komórek administracyjnych nie byłoby jeszcze uzasadnieniem przekonywującym. Pojawia się więc konstatacja pierwsza: *tworzenie systemu organizacyj branżowych, kontrolujących i regulujących w myśl życzeń Rządu działalność przedsiębiorstw — jest o tyle celowe, o ile istnieje decyzja, chęć i możność konsekwentnego prowadzenia rzeczywistej polityki interwencyjnej.* Te rzeczy trzeba mówić niejako jednym tchem.

Przyjmując tę konstalację, ekonomista o nastawieniu liberalnym oczywiście musi być przeciwnikiem zespołów, nie może go bowiem radować utrwalanie się interwencjonizmu. Piszący te słowa odnosi się do interwencjonizmu gospodarczego zdecydowanie przychylnie. Przeto i do koncepcji „zespołów" musi się odnosić przychylnie — oczywiście, o ile mówić się będzie jednym tchem i dostatecznie przekonywująco to, co wydrukowano wyżej kursywą. Sądzę, że należy podkreślić wpływ najbardziej generalnych nastawień myślowych (wykraczających już poza sferę czysto gospodarczą) komentatorów na dokonywaną przez nich ocenę i krytykę omawianych projektów organizacyjnych. Bowiem w dotychczasowych głosach prasy bardzo wyraźnie ujawniło się działanie „czarnych okularów", jakie w tej sprawie mieć muszą na oczach zwolennicy liberalizmu gospodarczego; nie wykluczam, iż moje okulary mogą się okazać różowymi, pomimo wszelkich starań, aby patrzeć na rzeczywistość oczami, niezasłonionymi żadnym kolorem.

Zwracając uwagę czytelnika na szczególne w tym wypadku niebezpieczeństwo subiektywizmu, jestem przekonany, że będę obiektywny twierdząc, iż praktyczne życie gospodarcze odczuje korzystnie

fakt sprecyzowania i utrwalenia polityki interwencyjnej, fakt w mym rozumieniu nieodłącznie związany z koncepcją zespołów przemysłowych. Mianowicie dobrodziejstwem dla praktycznego życia gospodarczego okaże się stworzenie wyraźniejszej niż obecnie sytuacji. Przedsiębiorca wszystko może zmieścić w swej kalkulacji oprócz niewiadomych. Interwencjonizm jest zaś u nas dostatecznie silny i szeroko zakrojony, aby figurować musiał we wszelkiej kalkulacji — natomiast polityka interwencjonistyczna wykonywana jest u nas dotąd z poważną dozą tymczasowości i fragmentaryczności, wprowadzając przez to do kalkulacyj przedsiębiorców tę właśnie niepożądaną niewiadomą. Interwencjonizm gospodarczy nie jest u nas wynikiem przyjęcia jakiejś ogólnej doktryny. Pojawił on się i rozrósł jako suma rozwiązań, znajdywanych dla bieżących problemów, stawianych przez życie; pewne uzasadnienia ogólne przyszły raczej później. Rozwijał się więc praktyczny interwencjonizm w atmosferze dyskusji — żeby nie powiedzieć walki — doktrynalnej, w której głosy liberałów bynajmniej nie brzmiały słabo. Dlatego w decyzjach praktycznych polityków gospodarczych częstokroć widać brak wyraźnego kręgosłupa, dlatego urządzenia organizacyjne są często zmieniane i mają liczne cechy prowizoriów, dlatego na jednych odcinkach interwencjonizm idzie za daleko i za głęboko, a od innych stroni lub idzie zbyt płytko, dlatego wreszcie trudność czy niechęć do długofalowego kształtowania struktury gospodarstwa narodowego przy pomocy interwencjonizmu gospodarczego. Użyłem kiedyś porównania, które nadal uważam za dobre, iż nasza polityka gospodarcza (a może i inna) stosuje metodę „ekspedycyj karnych", wysyłanych na teren zagrożony i porządkujących ów teren pod kątem potrzeb bieżących i odcinkowych; dopatruję się zaś w tej metodzie przeciwieństwa do zorganizowanego systemu policyjnego, nie tylko wyciągającego konsekwencje z błędów, lecz również przeciwstawiającego się powstawaniu błędów, i kierującego się kryteriami jednolitymi, a nie odcinkowymi. Sądząc, że nie jest realne przewidywanie, abyśmy przejść mogli do jako tako wyraźnego leseferyzmu, widzę trwałość polityki interwencyjnej i wolę w niej zorganizowany system „policyjny", aniżeli system „ekspedycyj karnych". I nie watpię, że to właśnie stanowisko odpowiada przedsiębiorczości prywatnej, dając jej zwiększoną trwałość warunków pracy, wyraźnie określone elementy kalkulacyjne i mniejsze kłopoty proceduralne.

Drugą praktyczną zaletę projektu „zespołów przemysłowych" widzę w tem, iż emanacja organizacyjna przemysłu ma się stać instrumentem interweniującym w odniesieniu do tego przemysłu. Organy administracji gospodarczej, do których należą decyzje polityki interwencyjnej, znajdą w ten sposób partnera — nie przeciwnika, a partnera — w swej pracy, dającego pomoc krytyczną tem cenniejszą, że opartą na odmiennym punkcie widzenia problemu i doceniającą warunki praktycznego realizowania zamierzeń. Nie jest to zresztą zupełna nowość. Już obecnie zarówno izby samorządu gospodarczego, jak i wolne związki przemysłowe są pociągane do współdziałania w polityce interwencyjnej. Jeśli jednak chodzi o wolne związki — to zajmują one raczej stanowisko *przeciwnika*, aniżeli współpracownika i partnera, są reprezentantami tzw. praw nabytych i interesów parcjalnych, a nie celów, które sobie stawia polityka gospodarcza, najczęściej zaś wypełniają rolę przysłowiowego już „chadataja po diełam". Tymczasem w istocie polityki interwencjonistycznej tkwi pewien moment wychowawczy. Ideałem — i chyba osiągalnym — tej polityki jest stan rzeczy, w którym nastąpi identyfikacja, a conajmniej ścisłe zbliżenie celów publicznej polityki gospodarczej i *długofalowych* celów przedsiębiorczości prywatnej. Nie chcemy stawiać tezy, że wolne związki przemysłowe nie interesują się potrzebami gospodarstwa narodowego, kierując się wyłącznie ciasnym egoizmem swych mocodawców — lecz w każdym razie są one wyznawcami innej, aniżeli polityka publiczna, *metody* działania, widzą mianowicie najlepszą drogę do zrealizowania celów ogólnych w pozostawieniu maksymalnej swobody indywidualnemu przedsiębiorcy, a więc w porzuceniu lub zacieśnieniu polityki interwencyjnej. W tych warunkach rzeczywista współpraca z reprezentującymi politykę interwencyjną organami publicznymi, współpraca idąca po liniach może odmiennych, ale współbieżnych — wielce trudna musi być do osiągnięcia. Sytuacja zaś ulega zasadniczej zmianie, gdy pojawiają się związki przymusowe, w codziennej swej pracy organicznie związane z instytucjami, ustalającemi ogólną politykę gospodarczą.

Uwagi powyższe ustosunkowują się pozytywnie do koncepcji zespołów przemysłowych, widzianych jako sylwetki, konturem tylko zaznaczone. Trudno ustosunkowywać się do szczegółów, skoro nie zostały one jeszcze ujawnione. Natomiast można formułować pewne uwagi szczegółowe, charakterem swym zbliżone raczej do dezyderatów, aniżeli do krytyki, skoro nie wiadomo, co projektodawcy zamierzają wrysować w zakreślone dotąd kontury.

Przede wszystkim więc powtórzyć wypada zasadniczą konstatację, że celowość istnienie zespołów zależy od tego, czy istnieje decyzja, chęć i możność prowadzenia *rzeczywistej* polityki interwencyjnej. Rzeczywistej — to znaczy mającej możliwie precyzyjnie określone cele, a tem samem określony zakres. Wydaje się pewne, że okaże się wówczas możność zaniechania interweniowania w niektóre dziedziny, skoordynowania ze sobą różnych technicznych środków interwencji, uproszczenia wymogów proceduralnych, sprecyzowania i utrwalenia wymogów rzeczowych. W dziedzinach już obecnie objętych przez interwencjonizm, stworzenie zespołów odczute zapewne byłoby jako czynnik liberalizujący. Wszystkie jednak te różowe perspektywy są o tyle realne, o ile dla polityki interwencyjnej określony będzie cel i zakres, oraz o ile istnieć będzie chęć i możność realizowania tej polityki. W przeciwnym razie zachodzi obawa, że warunki pracy przedsiębiorcy ulegną skomplikowaniu, takiemu samemu, jakie miałoby miejsce w razie zastąpienia systemu „ekspedycyj karnych" przez system „policyjny" zwarty, ale pozbawiony przepisów prawnych, instrukcyj i koncepcji politycznej. Możemy więc sformułować spostrzeżenie, czy dezyderat: *uruchomienie zespołów powinno być związane ze sprecyzo-*

waniem celów, środków i zakresu polityki interwencyjnej, oraz z wolą realizowania tej polityki.

Liczne z istniejących obecnie wielkich karteli mają wszelkie zewnętrzne cechy projektowanych zespołów. Parokrotnie miałem możność wypowiadania poglądu, że kartel jest czemś w rodzaju instytucji publicznej, oddalonej do eksploatacji jednostkom prywatnym. Jeśliby również zespoły miały się stać instrumentem do realizowania celów parcjalnych, *jeżeliby zespoły miały posłużyć do zabezpieczenia interesów jakiejkolwiek grupy gospodarczej, kosztem innych, a bez odpowiedniej korzyści dla gospodarstwa narodowego* — jeżeliby tak się stać miało, *to strzeż nas Boże od zespołów.* Ewentualność tego rodzaju trudno zresztą traktować inaczej, aniżeli jako groźne, ale teoretyczne tylko niebezpieczeństwo; tem wyraźniej jednak domagać się trzeba sprecyzowania celów, środków i zakresu polityki interwencyjnej.

W dotychczasowych głosach prasy (p. F. Z. w I. K. C.) wyrażono pogląd, że zespoły zwiększą liczbę dotychczasowych organizacyj przemysłowych, uruchamiając niebezpieczną inflację organizacyjną. Można by uznać za bardziej prawdopodobne, że zespoły pozwolą na zlikwidowanie licznych organizacyj, przejmując ich funkcje, że więc nastąpi deflacja organizacyjna. Ale może się stać i tak, jak przewiduje p. F. Z. Wiąże się to z dosyć lekkomyślnym twierdzeniem innego pisma, że cała koncepcja ma na celu jedynie stworzenie kilkudziesięciu lukratywnych posad. Twierdzenie jest lekkomyślne — ale może się zdarzyć.

Oba poglądy wiążą się ze sobą o tyle, że obsada personalna (powiedzmy ściślej: typ ludzi powoływanych do kierownictwa zespołami oraz pierwsze instrukcje tym ludziom dane) wpłyną w bardzo silnym stopniu na atmosferę, jaka w pracy tych organizacji zapanuje. Jeżeli zespoły stać się mają dublowaniem karteli i organizacyj wolnych, a co najwyżej organami techniczno - wykonawczemi dla polityki interwencyjnej, to realne są obawy i o inflacje i o synekurki. Nierealne zaś okażą się te obawy, jeżeli działalność zespołów oprze się odrazu o sprecyzowaną myśl polityczno - gospodarczą i o ile postawieni będą przy warsztacie ludzie o mentalności dostosowanej do tej myśli polityczno - gospodarczej. Dotykamy tu problemu bodaj najtrudniejszego w praktyce. Zważyć bowiem wypada, że zespoły okazać się muszą realizatorami państwowej polityki gospodarczej, ale jednocześnie jej współtwórcami, wnoszącymi do urzędów z życia płynące wartości koncepcyjne. Kierownicy zespołów nie mogą się stać „chadatajami po diełam", ale również nie mogą się stać urzędowymi dyktatorami, lekce sobie ważącymi potrzeby i poglądy członków swej organizacji; stworzyłoby to nam nową warstwę biurokracji i to bodaj w najgorszym wydaniu. Na podstawie uwag tych odnosimy wrażenie, że dla kierowania zespołami bardzo trudno, ogromnie trudno będzie znaleźć ludzi „gotowych"; traktując rzecz nieco krańcowo, skłonni bylibyśmy wysunąć dezyderat zwolnienia zespołów z pod rygoru przepisów o pracy dla osób zasłużonych, a natomiast wprowadzenia w ich statutach górnej granicy wieku pracowników.

Wedle dotychczasowych wiadomości, zespoły — w których reprezentowany ma być świat pracy — prowadzić mają politykę zatrudnienia i regulować warunki pracy. Nadanie im dosyć szerokich nawet uprawnień w tej dziedzinie wydaje się być ze wszech miar słuszne i nawet konieczne. Często spotykamy się z faktami, wskazującymi, że organy zajmujące się ochroną pracy bardzo po macoszemu obchodzą się z interesami warsztatu pracy; częściej jeszcze spotykamy się z faktami, że właściciel czy dysponent warsztatu pracy po macoszemu się obchodzi z pracownikami. Krańcowości w zachowaniu się jednej strony prowokują do krańcowości również drugą stronę. Sprowadzenie tych problemów do jakiegoś jednego mianownika napewno jest pożądane, a jest możliwe i najłatwiejsze właśnie na terenie krańcowym. Oczywistym jest więc wniosek, że byłoby wielce niewskazane, wręcz niebezpieczne, gdyby w strukturze organizacyjnej zespołu umożliwioną była hegemonia pracodawców nad pracownikami. Niebezpieczeństwo płynące z przeciwnej krańcowości jest równie wielkie, lecz mniej realne; natomiast obawiać by się można zbyt skromnego wyposażenia zespołów w kompetencje piastowane obecnie przez organy Min. Opieki Społecznej.

Wielce interesujące jest znalezienie miejsca w zespołach również dla „świata nauki". W wiadomościach prasowych nie znajdujemy wyjaśnień bliżej precyzujących kto ma reprezentować „świat nauki", w jaki sposób jego reprezentanci mają być wyszukiwani i jaką ma być ich rola. Może się okazać, że będą to „spece" od spraw technicznych, organizacyjnych itp., co byłoby zapewne celowe, ale nie wyczerpujące problemu. Wydaje się, że czy to pod firmą „ludzi nauki" czy jakąś inną, znaleźć się powinni w zespołach ludzie, nie związani osobiście i bezpośrednio z interesami ani przedsiębiorców ani robotników, ani też nie będący członkami administracji publicznej, którzy natomiast mogliby wypełniać bardzo trudną i ważną rolę łączników między zespołem i opinią społeczną.

Powyższe uwagi czy dezyderaty odnośnie organizacji „zespołów" napewno nie są kompletne, nasuwająca się tu problematyka jest znacznie szersza. Mogę jednak uwag tych nie mnożyć, zauważyłem bowiem, że mają one pewną wspólną cechę, która niezawodnie wypłynęłaby przy ocenie innych problemów i która — jak sądzę — w dużym stopniu zawiera w sobie rozwiązanie tych pominiętych problemów. Mianowicie między wierszami wszystkich powyższych uwag widzę zupełnie wyraźnie przewijającą się konstatację sformułowaną na początku niniejszego artykułu, iż stworzenie „zespołów przemysłowych" jest o tyle celowe i pożądane, o ile istnieje decyzja, wola i możność konsekwentnego prowadzenia polityki interwencyjnej o wyraźnie zakreślonych celach, środkach i zakresie.

ANDRZEJ SKALSKI

USPOŁECZNIONY DOCHÓD SPOŁECZNY

Najlepszy jest taki poziom i układ płac, przy którym zapewniony będzie najsprawiedliwszy podział dochodu społecznego.

Omawianie poszczególnych odcinków jakiegoś szerszego zagadnienia ma swoje dodatnie i ujemne strony. Dodatnie — gdy na skutek tego wyjaśnia się wszechstronnie jakiś szczegół, lub jego aspekty. Ujemne — gdy wskutek tego zatraca się ujmowanie całokształtu zagadnienia, gdy jakiś problem odcinkowy zaciemnia pozostałe i wybija się na czoło zagadnienia, aczkolwiek jego ciężar gatunkowy bynajmniej do czołowych nie należy. Tak jest wtedy, gdy toczy się dyskusja na tematy parcelacyjne, gdy jeden obóz broni swego stanu posiadania, drugi zaś dowodzi m. in. konieczności poprawienia struktury wsi przez parcelację. Tak jest w toczącej się obecnie dyskusji na temat podwyżek płac warstw pracowniczych, dyskusji, której ożywienie pozostaje w związku z niedawnym kongresem oraz debatą parlamentarną. Gdy klasa robotnicza walczy o poprawę swego bytu, jej leaderzy i publicyści widzą tylko nadmierny zysk przedsiębiorcy. Skolei żądanie nawet najbardziej obiektywne jakichkolwiek bądź reform jest traktowane przez przemysł jako zamach na jego stan posiadania. We wszystkich cytowanych wypadkach mamy do czynienia z poszczególnymi elementami zagadnienia podziału dochodu społecznego. Nie powinno się więc — moim zdaniem — mówić o konieczności reform w którymkolwiek bądź z działów bez zaznaczenia conajmniej, iż dany problem jest częścią składową szerszego zagadnienia, zagadnienia sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Pod względem gospodarczym każdy z omawianych problemów ma bardziej określone granice i własne oblicze. *Strona społeczna natomiast wydaje się być dla nich wspólną.* To też gdy jest mowa o reformie rolnej, (jako jednym ze środków uzdrowienia stosunków społecznych na wsi i wyrównania skali dochodu społecznego), należy wskazać, iż podstawa i skala dochodu społecznego w innych dziedzinach wymaga podobnej reformy. Jednostronność ujmowania rzeczy sprawia, iż prasa radykalna i nacjonalistyczna zarazem, upatruje w nim zorganizowaną akcję burżuazji miejskiej, przede wszystkim żydowskiej. Ma ona bronić w ten sposób swego stanu posiadania. Vice versa, prasa lewicowa w akcji, prowadzonej przez organy narodowo-radykalne przeciwko nadmiernym zyskom handlu i przemysłu, widzi tylko chęć skierowania uwagi proletariatu miejskiego i wiejskiego na antysemityzm. Trzeba przyznać, że zakreślenie granicy pomiędzy antysemityzmem a atakiem z tej strony na przemysł i handel jest dość trudne, zważywszy na to, iż handel, pewne przemysły oraz zawody wolne są w przeważającej mierze w rękach żydów.

W świetle powyższych wywodów teza przyjęta przez oficjalną politykę gospodarczą, a lansowana przez niektórych ekonomistów, o konieczności utrzymania niskiego poziomu płac dla umożliwienia właściwej z punktu widzenia interesów Państwa kapitalizacji i stwarzania tą drogą środków dla finansowania inwestycyj — musiałaby być rozszerzona w ten sposób, że *tem bardziej państwo musiałoby użyć swego wpływu dla dopilnowania należytego*, t. zn. zgodnego z przeznaczeniem, *zużytkowania zysków i rent.* One stanowią „główne źródło kapitalizacji” [1]), ich przeznaczeniem jest finansowanie inwestycyj, one więc powinny przede wszystkim podlegać największej ingerencji Państwa, skoro Państwo postawiło sobie za zadanie określone cele w zakresie inwestycyj i skoro Państwo ingeruje w tym sensie w zakresie płac (zarobków), mimo iż zarobki reprezentują przede wszystkim konsumcję.

Państwo jest w znacznej mierze regulatorem płac. Wyżej wskazaliśmy, iż Państwo powinno być *tem bardziej* regulatorem procesów kapitalizacji. Idąc o krok dalej dochodzimy do oczywistego twierdzenia, iż Państwo powinno regulować całokształt zagadnień z zakresu sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Kryterium najsilniejszego wzrostu dochodu społecznego dla kształtowania się poziomu i układu płac wydaje się niewłaściwe z uwagi na niepełną działalność interwencjonistyczną Państwa, ograniczającą się narazie do wpływania w silniejszym stopniu na poziom zarobków. Dochód społeczny wedle najbardziej klasycznej (ricardowskiej) definicji jest sumą dochodów jednostek, tworzących dane społeczeństwo. Otóż nie jest rzeczą obojętną ze społecznego punktu widzenia, czy na wielkość dochodu składają się (używając przesadni) dochody 400 miliarderów, czy też o jego wysokości stanowią dochody najszerszych warstw społecznych. Tak samo jak jest zasadniczą rzeczą, czy społeczeństwem są owi miliarderzy z ich dochodami i szerokie warstwy nędzarzy, czy też społeczeństwem są miliony wolnych obywateli o pewnej wyrównanej skali dochodów. Globalna wysokość dochodu społecznego nie daje żadnej gwarancji, że dochód będzie się automatycznie dzielił najlepiej, najbardziej celowo nie tylko ze społecznego ale nawet z gospodarczego punktu widzenia. Nawet przy założeniu, iż będzie obowiązywał idealny automatyzm i, że warstwy czerpiące swą przewagę z posiadania (kapitału, ziemi), z prawa bądź organizacji (kartele, związki zawodowe), będą natchnione jak najbardziej altruistycznymi uczuciami, nawet wówczas miałbym obawy, że podział dochodu nie byłby najlepszy. „Niezamożnych świata tego”, nie żyjących prawami „homo oeconomicus”, a ziem-

[1]) J. Poleszuk „Niektóre aspekty zagadnienia płac” G. N. Nr 1 z 1.I.38 r. (dalsze rozważania są snute na marginesie cytowanego artykułu).

niakami i chlebem, drażnią dysproporcje w podziale dochodu społecznego. I drażnią słusznie, szczególnie gdy widzą, że ponoszenie ofiar jest ich niemal wyłącznym przywilejem. Stwierdzenia tego faktu nie uważamy bynajmniej za szerzenie fermentu społecznego. Przeciwnie uważamy, iż zbyt mało mówi się o tych sprawach, względnie mówi się tylko dla formy, bez wyciągania wniosków. Najszkodliwszą zaś rzeczą wydaje się przy tem zbyt pochopne identyfikowanie zysków przedsiębiorcy z zyskiem społecznym, interesów urzędniczych z interesami Państwa itd. itd. Twierdzenie takie w ustach ekonomisty, może uchodzić za błąd, innego natomiast charakteru nabiera w ustach samego przedsiębiorcy. Sytuacja będzie tem ostrzejsza, im mniejszy będzie globalny dochód społeczny i im większą będzie dysproporcja pomiędzy udziałem w dochodzie posiadacza i najemnika. Tem bardziej będzie konieczna mediacja czynnika obiektywnego i bezpośrednio niezainteresowanego, jakim *powinno być* Państwo, odpowiednio przez czynnik społeczny kontrolowane. Żądanie tego ostatniego jest przyczyną oskarżania o „rozpolitykowanie" niektórych wysoce uspołecznionych organizacyj.

Ponieważ jednak automatyzm (a tem więcej idealny), w życiu gospodarczym oddawna nie istnieje, tem konieczniejsza wydaje się potrzeba ingerencji Państwa chociażby dla stworzenia przeciwwagi interwencjonizmowi prywatnemu (karteli, związków). Używając przenośni ze stosunków wewnętrznych na międzynarodowe, zrozumialsze stają się „autarkiczne" tendencje niektórych państw, które przez interweniowanie w światowe stosunki wymiany próbują wywalczyć sobie pożądaną pozycję w światowym podziale dochodu społecznego. Oczekiwanie na przyjście tego momentu w wyniku automatycznego układu sił, może — przy jakże nierównym układzie sił w świecie — doprowadzić do celu w zbyt odległym okresie czasu, z możliwością zajścia daleko idących zmian politycznych.

Ocena danego stanu rzeczy jako nie wzbudzającego niepokojów społecznych (czy aby tem samem sprawiedliwego?) nie uwzględnia szeregu innych przyczyn i imponderabiliów, które mogą być właśnie powodem spokoju. Nie wiadomo zresztą na jak długo. Poza tem takie postawienie sprawy, że układ płac jest dobry o ile nie wzbudza niepokojów społecznych, jest nadto zbliżone do rozumowania urzędów skarbowych: podatek dopóty nie jest zbyt wysoki, dopóki płatnik nie protestuje.

„Poziom i układ płac" publicznych pracowników najemnych nie jest najlepszy. Wada jego nie tkwi w tem, iż wyższe kategorie zarabiają dużo „kosztem" niższych, gdyż takie postawienie sprawy nie wytrzymuje krytyki rachunku. Wada tkwi w samej dysproporcji i w jej ujemnym psychicznym oddziaływaniu.

Jeśli chodzi o ingerencję państwa w zakresie płac pracowników najemnych, to wydaje się, że przede wszystkim należałoby się spodziewać odpowiednich posunięć w stosunku do zatrudnionych przezeń najemników. Państwo powołane jest do niwelacji wyskoków w zakresie płac i zysków, przede wszystkim więc musi to zrobić u siebie. Nie chodziłoby przy tem o jakąś „urawniłowkę" lecz o zniesienie dysproporcyj, których Państwo u siebie absolutnie tolerować nie może, skoro nie toleruje, względnie ma nie tolerować gdzieindziej. Argument, iż wyższe płace wysokich urzędników mają zapewnić Państwu odpowiednio zdolny i dobrany aparat nie wydaje się nam żadną miarą słuszny. Przede wszystkim zdolni młodzi urzędnicy wychodzą z państwowych urzędów jeszcze jako młodzi, nie zaś wtedy gdy piastują jakiekolwiek bądź kierownicze stanowiska. Trudności w obsadzie katedr profesorskich na wyższych uczelniach nie pochodzą stąd, iż profesorowie są źle uposażeni, lecz przyczyna tkwi w niskim uposażeniu asystentów. Państwowe urzędy nie wychowują specjalistów dla żadnej dziedziny prócz własnej administracji; gdy mimo to niektórzy dygnitarze przechodzą na wysokie stanowiska w życiu gospodarczym z reguły dzieje się tak z innych przyczyn. Nie tylko kwestia poborów decyduje o pozostaniu bądź wyjściu wyższych urzędników ze swych stanowisk, wchodzą tu w rachubę względy nie zawsze materialne, związane z charakterem i możliwościami pracy państwowej i prywatnej, z „ciężką machiną państwową" i żywotnością życia gospodarczego.

Jeśli chodzi o dysproporcje pomiędzy poziomem płac robotników zorganizowanych w związkach zawodowych i stale zatrudnionych, a zarobkami ogółu robotników, to fakt powyższy dowodzi wadliwości względnie niepełności polityki płac, indolencji Państwa w stosunku do związków zawodowych oraz egoizmu tych ostatnich. Okoliczność, że raczej się idzie na podwyżkę płac jednostkowych i pełniejsze zatrudnienie już pracujących, zamiast bardziej celowego społecznie zatrudniania wzamian większej ilości robotników, ma w pewnym stopniu wytłumaczenie w tem, że mimo wszystko bezrobocie jest nadal rozwiązywane w płaszczyźnie charytatywno-doraźnych posunięć, nie zaś w płaszczyźnie długofalowego, strukturalnego traktowania sprawy. Pewien wpływ na taki a nie inny przebieg sprawy i kształtowanie się opinii przypisać należy temu, że bezrobotni wszelkich odcieni (zbędni itp.), nie posiadają swej reprezentacji w społeczeństwie, ani w prasie, ani w związkach, ani w parlamencie, stając się siłą faktu wyrzuconymi za nawias społeczeństwa.

W zakresie zysków wszelkiego rodzaju, związanych z posiadaniem (kapitałów, przedsiębiorstw, ziemi), należy również oczekiwać większej niż dotąd ingerencji Państwa dla realizacji wytkniętych sobie celów. W tym względzie od pewnego czasu mamy do zanotowania parę dodatnich momentów. Jako przykład wymienić należy wprowadzenie ograniczeń dewizowych. Dzięki temu — aczkolwiek z wielkim opóźnieniem — powstrzymano odpływ reszty kapitałów z kraju; kapitały te musiały szukać lokaty. Tu znowuż notujemy złe strony nie pełnej reglamentacji: na skutek dogodnych warunków w budownictwie, zamiast pójść na podstawowe inwestycje np. w centralnym rejonie, kapitały skierowane zostały na luksusowe budownictwo, domy mieszkalne i kina różnych firm, karteli tekturowych i towarzystw ubezpieczeniowych. Niektóre zarządzenia powzięte

w stosunku do kapitałów i zysków np. we Włoszech, w zestawieniu z naszymi warunkami, wskazują na pewne konkretne możliwości. Podobna sytuacja zachodzi w stosunku do zysków z ziemi, gdzie dojrzał już grunt do bardziej zdecydowanych posunięć, gdzie społeczno-polityczne znaczenie takich posunięć nabrało już zupełnie specjalnego charakteru.

Niski poziom płac traktuje się jako *konieczność*. Ta sama konieczność, której istnienia nie negujemy gdy chodzi o płace, musi *tem bardziej* obowiązywać gdy chodzi o zużycie zysków, płynących z posiadania. Konieczność zadowolenia się niskiemi płacami może być zrozumiana wtedy, gdy znane będą cele wysiłków, gdy cele te będą bliskie i gdy będzie świadomość sprawiedliwej i względnej równości ofiar. Innymi słowy gdy masy zobaczą bliskie i zrozumiałe dla nich cele, dla których będą zaciskały pasa, oraz gdy obok ingerencji państwa w zakresie płac będą widziały conajmniej równą ingerencję w zakresie zysków. Temu wszystkiemu zaś musi towarzyszyć „surowe życie" i prawość szczytów hierarchii społecznej. Postulat „zaciskania pasa" (dla inwestowania) przez *wszystkich* bez wyjątku, a nie ograniczony tylko do grup społecznych żyjących z pracy, nie jest ani lewicowym ani prawicowym, ani żadnym innym programem polityczno-gospodarczym, lecz jest obiektywną oceną konieczności, wynikających z braków naszej struktury społeczno-gospodarczej: przeludnienia wsi, bezrobocia, braku kapitałów, niedostatecznego uprzemysłowienia i urbanizacji. Ten sam postulat sformułowany w odniesieniu do jednego z czynników produkcji (pracy, kapitału, ziemi) będzie zawsze nosił na sobie piętno obrony egoistycznych interesów.

Na marginesie warto zaznaczyć, że obok zasadniczych czynników produkcji, (kapitał, ziemia, praca) pomiędzy które dzieli się dochód społeczny, znane i wymieniane są inne jeszcze źródła dochodu, a mianowicie uprawnienia i przywileje jak np. pensje inwalidzkie, renty, synekury. O ile dochody płynące z istotnych uprawnień z tytułu położonych ofiar, bądź zdobytych zasług (pensje inwalidzkie) nie mogą wzbudzać żadnych zastrzeżeń, o tyle dochody pochodzące z przywilejów — w najszerszym tego słowa znaczeniu — wzbudzają jak najdalej idące zastrzeżenia. Będą tu wchodziły w rachubę zarówno synekury, jak zyski niektórych przedsiębiorstw pochodzące z monopolistycznego stanowiska, kontyngentowania itp.

Reasumując pragniemy podkreślić, że postulat utrzymania płac na dotychczasowym poziomie w okresie poprawy koniunkturalnej, wydaje się niesprawiedliwym i społecznie niebezpiecznym przy zachowaniu status quo w zakresie pozostałych składników dochodu społecznego.

U W A G I

DEMOTORYZACJA NA CHŁODNO

W jednym z ostatnich numerów „Gospodarki" wydrukowano uwagę moją p. t. „Smętek zmotoryzowany". Starałem się tam obronić tezę, że w Polsce w rzeczywistości (a sprzecznie z zamierzeniami) prowadzona jest polityka demotoryzacyjna, t. j. przeciwstawiająca się nabywaniu i użytkowaniu samochodów. Niektórzy czytelnicy dopatrzyli się w tym moim artykuliku zgryźliwej złośliwości, nadmiernych uproszczeń, jednostronności w krytycyzmie, nawet demagogii. Chętnie i bez zażenowania zgadzam się, z taką oceną i, co więcej, wyjaśniam, że było mym *zamierzeniem*, aby uwadze o „Smętku zmotoryzowanym" nadać wszystkie te wyżej wymienione cechy, które w zasadzie uważam za niedopuszczalne dla publicysty gospodarczego. „Przyznaję się" do tych grzechów bez skruchy i zażenowania, gdyż jestem przekonany, że w danym szczególnym wypadku grzechy nie były grzechami, że fakty zezwalają mi na takie traktowanie zagadnienia — a nawet zalecają takie jego traktowanie. Brzmi to paradoksalnie — ale niestety, gdy mówimy o polityce motoryzacyjnej czy demotoryzacyjnej, jesteśmy w sferze paradoksów, dużo przykszejszych od tych, które najzręczniejsze nawet pióro sformułować potrafi.

Obecnie na chłodno i obiektywnie postaram się wykazać, że istotnie uprawianą jest u nas polityka demotoryzacyjna.

Dążymy do ustalenia, czy w warunkach polskich *sam fakt nabycia lub użytkowania samochodu*, pociąga za sobą dla zainteresowanego obywatela: a) wzrost świadczeń ze strony Państwa, b) redukcję świadczeń na rzecz Państwa, c) bardziej korzystne ukształtowanie stosunków z innymi obywatelami. Jeżeli tak jest — mamy politykę motoryzacyjną. Jeżeli jest przeciwnie — mamy politykę demotoryzacyjną.

Wyobraźmy sobie przedsiębiorstwo transportowe, które na miejsce jakichś innych środków lokomocji zastosowało u siebie trakcję samochodową. Żadna inna zmiana w przedsiębiorstwie nie nastąpiła: wozi ono po tych samych drogach te same towary czy ludzi, ma te same obroty, te same zyski, ma tę samą klijentelę, słowem jego funkcja gospodarcza, jego stosunek do otoczenia nie uległ żadnym innym zmianom, jak te, które są bezpośrednio związane z przejściem na trakcję motorową. A jakie mianowicie zmiany nastąpiły w kształtowanych przez Państwo warunkach pracy naszego przedsiębiorstwa, o ile oceniać je pod kątem podanego wyżej trójczłonowego szablonu?

1. Przedsiębiorstwo korzysta jak korzystało z użytkowania dróg publicznych. Część tych dróg jest udoskonalona, t. j. posiada jakgdyby nadbudowę, zbędną dla innej trakcji, a pożyteczną dla samochodu. Tu mamy fragment polityki *motoryzacyjnej*. Trzeba to przyznać lojalnie, jednocześnie jednak

trzeba skonstatować, że jest to również fragment polityki drogowej, której ogólne zdobycze tak krytycznie ocenił niedawny Kongres Drogowy, stwierdzając proces dekapitalizacyjny na tym odcinku.

Korzysta nasze przedsiębiorstwo z utrzymywanego przez Państwo porządku na drogach publicznych. Kontrola ta była dobrze dostosowana i dostatecznie sprawna dla potrzeb trakcji np. konnej. Natomiast trakcja samochodowa praktycznie biorąc nie jest przez Państwo ochraniana; na drogach samochód napotyka na warunki dlań nieznośne; warunki te nie są w gruncie rzeczy ulepszane (vide oświadczenie prasowe Komendanta Głównego P. P.). Na tym więc odcinku obywatel użytkujący samochód nie tylko nie spotyka się ze wzrostem świadczeń Państwa, a przeciwnie, z ich spadkiem. Nie ma tu polityki motoryzacyjnej, raczej jest polityka *demotoryzacyjna*.

2. Udział Państwa w cenie samochodów jest wielki, napewno większy, niż w cenie jakiegokolwiek innego środka transportu, wynosi parę dziesiątków procent ceny producenta. Amortyzując swój tabor, przedsiębiorstwo zmotoryzowane obciąża się na rzecz Państwa świadczeniem, którego przy innej trakcji nie ponosi. Polityka *demotoryzacyjna*.

Nie przeprowadziłem badań szczegółowych, ale nie popełnię pewno błędu twierdząc, że udział Państwa w cenie benzyny i olejów jest większy, aniżeli w cenie owsa czy siana. Przeto przedsiębiorstwo używające samochodu ponosi w swych kosztach eksploatacyjnych większe świadczenia na rzecz Państwa, aniżeli przy trakcji np. konnej. Polityka *demotoryzacyjna*.

Obok wszelkich podatków, obciążających przedsiębiorstwo zależnie od jego wyników gospodarczych czy rozmiaru, a używanych m. in. na budowę dróg — istnieją podatki, które płaci użytkownik samochodu, których natomiast nie płaci użytkownik innych środków lokomocji. Skoro sam fakt nabycia lub użytkowania samochodu pociąga za sobą świadczenia na rzecz Państwa — to to jest polityka *demotoryzacyjna*. Podobnie ocenić należy opłaty rejestracyjne itp.

Nabywca samochodu otrzymuje zwrot podatku dochodowego, a więc napozór dostaje premię od Państwa. Jest to uważane za jeden z najważniejszych składników naszej motoryzacyjnej polityki. Z przykrością muszę zakwestionować ten pogląd. Zważmy bowiem: obywatel osiągnął dochód, oddając należną jego część Państwu; to co mu zostało po opłaceniu podatków, może użyć jak chce, może np. zbudować dom, albo kupić samochód. Jeśli buduje dom — to nie ponosi *z tej racji* żadnych obciążeń publicznych, ale jeśli kupuje samochód, to w cenie kupna duży jej procent płaci Państwu. W obu wypadkach obywatel otrzymuje zwrot podatku dochodowego — ale dla budującego dom jest to rzeczywista premia, a dla nabywcy samochodu jest to tylko zredukowanie sumy, jaką Państwo jednocześnie i z tego samego tytułu zeń ściąga. Dopóki obliczony w procentach ceny samochodu zwrot podatku dochodowego jest mniejszy, aniżeli ochrona celna, to mamy do czynienia nie z polityką motoryzacyjną, a tylko z *osłabieniem polityki demotoryzacyjnej*.

3. Do trzeciej dziedziny zaliczyć wypada najrozmaitsze przepisy porządkowe, związane z użytkowaniem samochodu. Mnogość tych przepisów, nie stosowanych do innej trakcji, jest znaczna, zaczynając od prawa jazdy, a kończąc na koncesjonowaniu taksówek i autobusów. Wszystkie te rygory i procedury, związane z używaniem samochodu, a nie z wykonywaniem wszelkiego przewozu, są polityką *demotoryzacyjną*, również wówczas, gdy z punktu widzenia bezpieczeństwa i tp. są one nawet koniecznością.

Powyższe uwagi aczkolwiek fragmentaryczne, pozwalają mi twierdzić, bez zgryźliwości tym razem, że *prowadzona jest u nas polityka demotoryzacyjna*. Obywatela, przeświadczonego o potrzebie motoryzacji kraju, mogą na to „brać diabli". I to tem więcej, że nie ma nikogo, kogo by można obciążyć odpowiedzialnością. Sądzę, że mamy tu do czynienia z pozostałością myślową okresu, w którym samochód nie był problemem gospodarczym i traktowano go jako coś w rodzaju sympatycznego intruza. Gdy wypadało się do niego ustosunkować, czyniono to pod kątem zabezpieczenia się, aby nie czynił szkody komuś czy czemuś innemu, większemu i ważniejszemu, albo pod kątem oceniania go jako wskaźnika możności *(a nie celowości)* nałożenia na jego posiadaczy jakichś obciążeń i obowiązków.

Dziś samochód uznano za problem gospodarczy, wysunięto tezę polityki motoryzacyjnej — ale nic zlikwidowano polityki demotoryzacyjnej.

Sytuacja przypomina nieco historię o kaftanie Tryszki. Jedną ręką motoryzujemy, a drugą demotoryzujemy; jedną ręką płacimy premię, a drugą ręką ściągamy ją z powrotem, z potężnym naddatkiem. Przy tej metodzie działania oddalany jest moment, w którym wyższość techniczna samochodu przełamie opory, skoro istnieją również opory dobrowolnie stawiane procesom motoryzacyjnym, a nieomal żadnych nie ma *rzeczywistych* podniet dla motoryzacji.

Metoda chodzenia: jeden krok wprzód i półtora wstecz — nie jest dobrą metodą maszerowania.

Franciszek Kozłowski.

SYSTEM PRAKTYK HANDLOWYCH

Nie ulega wątpliwości, że sprawy handlu zagranicznego cieszą się w publicystyce gospodarczej ostatnich czasów wyjątkową popularnością. Wzrost obrotów, pojawienia się ujemnego ich salda, działalność negocjacyjna, a w ubiegłych latach wprowadzenie ogólnej reglamentacji, polityka kontyngentowa i celna, premiowanie eksportu itp. były przedmiotem licznych notatek, opracowań, a niejednokrotnie i żywych polemik, wskazujących na szczególne zainteresowanie i z kolei wywołujących zainteresowanie tymi problemami. Ostatnio w dziedzinie tej miał miejsce fakt, mogący mieć z punktu widzenia długofalowej polityki, znaczenie pierwszorzędne, a przez opinię gospodarczą na ogół mało doceniony. Faktem tym jest uruchomienie systemu praktyk handlowych.

Niebywały rozwój interwencjonizmu państwowego w zakresie handlu zagranicznego, powstanie pojęcia i systemów „administracji handlu zagranicznego", częste i gwałtowne zmiany najbardziej podstawowych zasad polityki handlowej, wywołujące jak najdonioślejsze skutki dla ostatecznego kształtowania się i wyników obrotów handlowych, spowodowały zwrot zainteresowań wyłącznie niemal w tym kierunku i zupełne prawie zapomnienie najważniejszego bądź co bądź elementu, jakim jest kupiec i jego działalność handlowa. Zapomnienie to tem jest dziwniejsze, że w warunkach rzeczywistości polskiej kupiec, posiadający kwalifikacje, kapitał i doświadczenie, a pracujący w handlu zagranicznym, w szczególności eksportowym, jest — będzie to truizmem dla znawców tej dziedziny — zjawiskiem niezmiernie rzadkim; brak takich ludzi daje się odczuwać ogromnie dotkliwie.

System praktyk handlowych ma na celu częściowe przynajmniej wypełnienie tych braków przez umożliwienie pewnej ilości ludzi nabycia odpowiednich kwalifikacji i doświadczenia oraz popchnięcie ich do pracy w handlu zagranicznym. Braków kapitałowych system ten — co zresztą jest zupełnie zrozumiałe — usunąć nie może.

System praktyk handlowych polega na tem, że utworzona specjalnie w tym celu przez Ministra Przemysłu i Handlu Komisja Stypendialna wybiera co pewien okres czasu pewną ilość młodych ludzi posiadających teoretyczne przygotowanie handlowe, i umieszcza ich na praktykach w firmach krajowych, pracujących w handlu zagranicznym lub w dziedzinach z handlem zagranicznym związanych. Przez przygotowanie teoretyczne wystarczające rozumie się ukończenie średniego lub wyższego zakładu naukowego handlowego, znajomość przynajmniej jednego z języków używanych w handlu światowym, oraz w zasadzie ukończenie Kursu Eksprotowego, prowadzonego obecnie przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy; ponadto brane są pod uwagę osobiste zdolności kandydata do działalności handlowej. Praktyki takie w zasadzie są płatne. O ile jednak wynagrodzenie byłoby za małe dla utrzymania praktykanta, może Komisja Stypendialna przyznać mu zwrotne stypendium, umożliwiające skromne utrzymanie.

Po ukończeniu praktyki krajowej (która z reguły trwa rok i z której praktykant powinien zdawać dokładne sprawozdanie) o ile wyniki jej są dodatnie, przydziela mu Komisja Stypendialna praktykę w firmie lub instytucji zagranicznej, działającej w handlu zagranicznym lub dziedzinach pokrewnych. Na czas trwania takiej praktyki może być również przyznane odpowiednie stypendium.

Po ukończeniu praktyki zagranicznej z wynikiem zadowalającym, dopomoże Komisja Stypendialna praktykantowi do usamodzielnienia się, do prowadzenia działalności handlowej w zakresie obrotów między Polską a zagranicą. W pierwszym okresie samodzielnej działalności handlowej może praktykant korzystać również ze stypendium, które jednak będzie stopniowo zmniejszane; po ukończeniu zupełnym okresu stypendialnego powinien nastąpić zwrot całej kwoty otrzymanego stypendium, w ratach w ciągu paru lat.

System praktyk handlowych, jak widać z powyższego, jest systemem popierania handlu zagranicznego, obliczonym na dłuższe działanie i wyników jego nie można oczekiwać odrazu. W ciągu tego czasu znaczna część praktykantów, przyjętych początkowo, niewątpliwie odpadnie, znaczna część nie potrafi się utrzymać w pracy handlowej samodzielnej po ukończeniu okresu stypendialnego. Straty te jednak są nieuniknione i w opracowaniu organizacyjnego i finansowego planu zostały wzięte pod uwagę. Jeśli jednak pewien tylko procent ludzi wciągniętych do systemu pójdzie samodzielnie po drodze, której najtrudniejsze, początkowe stadia w ten sposób zostały im ułatwione względnie umożliwione, i jeśli ich działalność po latach dopiero wyda dostrzegalne rezultaty dla nich samych i dla polskiego handlu zagranicznego — trzeba będzie uznać, że nakłady czynione obecnie sowicie się opłaciły. A cechą nakładów czynionych z punktu widzenia polityki długofalowej jest to, że ich opłacalność jest dużo większa i okres trwania znacznie dłuższy, niż szeregu posunięć na krótką metę, pozornie bardzo nawet wydajnych i efektownych.

k. w.

SPARALIŻOWANY WĘZEŁ

Gdynia i Centralny Okręg Przemysłowy są inwestycjami na wielką skalę, na skalę ogólnopolską. I jeżeli kosztują czy będą kosztowały bardzo wiele, to wydane na nie setki milionów złotych przyniosą — bezpośrednio i pośrednio — tak poważne korzyści, iż społeczno - gospodarcza rentowność tych inwestycyj nie podlega właściwie dyskusji.

Państwo zaangażowało się jednak w imprezę, równie kosztowną jak Gdynia i C.O.P., ale bezsprzecznie mniej rentowną, o ile w ogóle rentowną. Mam tu na myśli przebudowę i elektryfikację węzła warszawskiego, która — o ile mnie pamięć nie myli — pochłonęła około ćwierć miliarda zł. Jak wiadomo, nie jest to wszystko, co w tej dziedzinie zamierza uczynić (t. zn. wydatkować) Ministerstwo Komunikacji.

W prasie poruszona została również nieszczęsna elektryfikacja scentralizowanego, mocno na supeł ściśniętego węzła. Może się mylę, ale podejrzewam, iż angielska pożyczka elektryfikacyjna potrzebna była ze względów dewizowych i moralnych (patrzcie — mówiono — Anglia pożycza Polsce w okresie depresji!), nie zaś z uwagi na potrzeby gospodarcze kraju a nawet i samej kolei. Bo przy obfitości węgla kolej mogłaby przez wiele jeszcze lat obywać się bez prądu, a trakcja parowa w obrębie stolicy nie byłaby ani powolniejsza (zmiana lokomotyw z elektrycznych na parowe czyni iluzoryczną oszczędność w czasie), ani droższa.

Paroletnie doświadczenie wykazało zresztą, że kosztowna inwestycja nie była dokładnie przemyślana i przepracowana. Węzeł warszawski jest przeciążony, co zmusza do budowy linii pomocniczych (np. Tłuszcz — Wieliszew — Nasielsk), od których zresztą nale-

żało zacząć w interesie chociażby tranzytu i przewozów wewnętrznych, nie mówiąc już o potrzebach wojska. A z elektrycznością dzieją się raz po raz niesamowite dziwy, zaczynając od plagi kradzieży przewodników, a skończywszy na byle zawiei czy mrozie, które dosłownie paraliżują cały węzeł.

Wydaje się, że w kraju, ubogim w kapitały, w kraju, który ma tyle pilniejszych i donioślejszych potrzeb niezaspokojonych (wie o nich najlepiej samo Ministerstwo Komunikacji), przebudowa węzła warszawskiego mogła była poczekać jeszcze parę dobrych lat. Nie jeździlibyśmy do Kaczego Dołu wspaniałymi (cała bieda w tem, że... nie chodzącymi z byle powodu) pociągami, ale mielibyśmy zato kilkaset, a może i kilka tysięcy kilometrów kolei, szos i kanałów, parę mostów i t. d.

Po Gdyni i C. O. P. należało by powiedzieć: „Noblesse oblige" i albo węzła nie ruszać, albo go dobrze — rozwiązać.

Nie jestem specjalistą od spraw kolejowo-komunikacyjnych i nie potrafię zdać sobie sprawy, czy pod względem technicznym koncepcja „węzła" została rozwiązana szczęśliwie. Z głosów krytyki można by odnieść wrażenie, że chyba — nie bardzo, zwłaszcza, że motyw bezpieczeństwa nasuwa (podobno!) dość ważkie zastrzeżenia.

k. b.

NOTATKI

PRYMITYWIZM I DEMAGOGIA

Wśród trzech rodzajów kłamstwa, kłamstwo statystyczne ma największy zasięg społeczny i dlatego może czynić najszersze spustoszenia.

Nie polega ono, jakby można było przypuszczać, na podawaniu fałszywych danych. Byłoby to raczej kłamstwo pospolite. Niepospolitość kłamstwa statystycznego sprowadza się do podawania prawdziwych liczb albo bez komentarza, albo z komentarzem, który mówi rzeczy nieprawdopodobne, albo też daje do zrozumienia, iż coś się za podanemi liczbami ukrywa.

W „Kurjerze Czerwonym" z dnia 19 stycznia br. ukazał się artykuł, poświęcony omówieniu bilansu handlowego, a podpisany przez człowieka, który od wielu już lat trudni się rzemiosłem statystyka i publikuje w prasie przyczynki statystyczne z odpowiednimi ich komentarzami. Artykuł ten m. in. zawiera ustęp, zaczynający się zdaniem: „Obliczając przeciętną cenę przywożonych artykułów o charakterze konsumcyjnym, widzimy olbrzymie różnice pomiędzy ceną płaconą przez importera, a ceną narzucaną konsumentowi w Polsce". Po czem następuje seria przykładów „klasycznych" (kawa, herbata i pomarańcze), udowadniających powyższą tezę, wspartą efektownym zakończeniem: „Nawet po opłaceniu cła przez importera widzimy, jak dużo przepłaca kosument w Polsce za sprowadzone z krajów dalekich artykuły kolonialne i owoce południowe".

Konsument, który kupił rzeczony numer „Kurjera", przepłacił 10 groszy. Bo ani uczony wywód, ani przytoczone liczby, ilustrujące niebywałe zyski importerów, nie odpowiadają rzeczywistości, ale wzamian za to pewne problemy gospodarcze sprowadzają na grunt taniej demagogii.

Bo jak inaczej nazwać zestawienie, w którym jedną liczbę stanowi *surowiec*, a drugą *półprodukt?* Przecież każdy konsument kawy wie, iż kawa w stanie surowym i kawa palona to nie jest jedno i to samo. Każdy też zdaje sobie sprawę (a jak nie wie — zapyta się fachowca), że kawa po upaleniu traci ok. ⅛ swej poprzedniej wagi, co musi się odbić na cenie. I dlatego rozumowanie, idące po linii: 1,45 zł. (cena 1 kg kawy w imporcie) — 6 zł. (cena 1 kg kawy w detalu), jest i fałszywe i demagogiczne.

Ale to jeszcze nie wszystko. Statystyk, operujący przeciętną ceną importową, którą jest iloraz, powstały z podzielenia wartości importu przez jego wagę, zapomina o *kosztach*, związanych z importem. Prawda jest, że 1 kg najtańszej herbaty kosztuje około 3,80 zł. (jak podaje autor), ale jest to cena cif Gdynia nie tylko bez cła i wszelkich innych opłat, lecz i bez kosztów dodatkowych a nieuniknionych, jak przewóz ze statku do magazynu, magazynowanie, ubezpieczenie etc. Do wymienionej ceny zakupu loco statek importer dopłaca cło, opłaty manipulacyjne, pozwolenia importowe i ponosi dodatkowe a obligatoryjne ciężary, wynikające z reglamentacji przywozu, co w sumie daje niemałą kwotę 9,50 zł. od 1 kg. Łącznie z kosztami, o których była wyżej mowa, a wynoszącymi 50 — 60 groszy, cena własna loco magazyn portowy wynosi ok. 14 zł. Cena tejże herbaty (Sumatra) w detalu w całej Polsce wynosi 16 zł. (a nie jak podał autor: 12 zł.). Różnica 2 złote mieści w sobie: zarobek importera oraz zysk brutto (t. zn. koszty handlowe plus zarobek) hurtownika i detalisty.

Podobnie przedstawia się sprawa z pomarańczami. Autor cytuje dwie ceny: 55 gr. w imporcie i 1,20 zł. za 1 kg w detalu. Rozpiętość potworna, zysk i wyzysk kolosalne. A w rzeczywistości? *Najtańsze* gatunki pomarańcz palestyńskich kosztują cif Gdynia 46 groszy za 1 kg, najtańsze włoskie — 57 groszy. Jeżeli doliczyć cło wraz z wszelkimi jego akcesoriami (ok. 43 groszy) oraz koszty dodatkowe jak wyżej (ok. 4 groszy), otrzymamy, iż cena własna wynosi 93 gr. wzgl. 1,04 zł. Dorzucając zysk importera, koszty przeładunku z magazynu do wagonu i z wagonu do składu hurtownika, koszty przewozu z Gdyni, koszty handlowe i administracyjne hurtownika i detalisty, zysk tych dwuch oraz — o czem się często zapomina — stratę w towarze łatwo i szybko psującym się (dochodzi ona do 20%), otrzymamy cenę detaliczną 1,20 — 1,50 zł. (pewne odchylenie in plus dla pomarańcz włoskich jest rezultatem dużego popytu przy małej podaży).

Nie jestem zainteresowany w imporcie i handlu pomarańczami, jak również ani mnie herbata nie ziębi, ani kawa nie grzeje (w sensie, oczywista, dochodowym). Trudno mi jednak pogodzić się ze statystyką, która operuje gołemi liczbami i puszcza je na flukta naszego czytelnictwa, gdzie niechęć do handlu (pośrednictwa!) idzie w parze z brakiem krytycyzmu.

Zagadnienie rozpiętości cen i zysków handlu jest równie ważne, co trudne. Dużo można by zarzucić importerom i kupcom: że nieumiejętnie a drogo organizują import, że nie potrafią zdobyć klienta, że niekiedy dają zły towar etc., ale środki, zmierzające do usunięcia tych szkodliwych dla gospodarstwa narodowego błędów i przywar, nie leżą na ulicy. I niedobrze jest, gdy ulica będzie kształtowała swój pogląd na koszty pośrednictwa przy pomocy prymitywnych metod statystycznych, podlanych sosem demagogii.

br.

RYBIA POLITYKA

Ostatnio w dyskusjach, czy to w związku z poziomem płac, czy też w związku z położeniem wsi poruszany jest problem populacyjny. Uderza przy tem przede wszystkim obawa, żeby się przyrost naturalny nie zmniejszył. O ile samo zagadnienie dopomożenia niezamożnym warstwom społeczeństwa wydaje się poza sporem, o tyle motywacja populacyjna wzbudza większe wątpliwości. Jesteśmy chyba w błędnym kole. Wszak złe położenie mas może m. in. wypływać i niewątpliwie wypływa właśnie z nadmiernej liczebności rodzin. Propagowanie rozrodczości, a więc liczebności rodzin, staje się tem samem propagowaniem nędzy, jej petryfikowaniem.

Stale mam to nieprzeparte wrażenie, że polityka populacyjna w Polsce jest na poziomie umysłowości i kultury bushman'ów. Było o niej i o problemie regulacji urodzin przez pewien czas głośno. Zajmowali się tym zagadnieniem bez mała wszyscy; od sztubaków przez Boy'a do St. Rychlińskiego. Po czem ucichło. A szkoda! Bo rozradzamy się nadal niesamowicie. Niesamowitość tkwi w tem, że pomimo rosnącej nędzy i rozdrabniania gospodarstw wiejskich, wieś płodzi i płodzi. Pomimo nędzy robotników i bezrobotnych rodzą się wciąż nowi kandydaci coraz niższej stopy życiowej. Miast kapitalizować i wzmagać zamożność produkujemy swoiście pojęty „kapitał obrotowy". Robi to wrażenie rybiego tarła. Produkuje się ikrę bez zastanowienia co z nią będzie, bez zapewnienia „narybkowi" jakich takich warunków bytowania. Oczywiście przyczyna leży w niezwykle niskim poziomie rozwoju „ryb".

Do „ryb" też nie można mieć o to pretensji, lecz w jakim świetle ukazują się „zootechnicy", którzy tego rodzaju gospodarkę prowadzą, lub propagują u ludzi? Zdaje się iż głównym motywem propagowania rozrodczości są względy wojskowe. Obawiam się, że i tu tkwi grube nieporozumienie. Nowoczesna wojna będzie wymagała rozwiniętego fizycznie i umysłowo żołnierza o pewnym przygotowaniu ogólnym, żołnierza, który by umiał zastosować się do nowoczesnych środków walki, nie zaś niedożywionego i ciemnego bushman'a. Poza tem cały naród musi mieć pewien potencjał moralny, którego przy obecnym układzie stosunków społeczno-gospodarczych nie ma, co jest w dużym stopniu „zasługą" polityki populacyjnej.

Ale oddajmy głos samym zainteresowanym. W tym celu zacytujemy wyjątki z „głosów wsi zanotowanych na marginesie ankiety o zadłużeniu" [1]). Głosy te stanowią w swoim rodzaju miniaturę Pamiętników Chłopów, z tem, że są bardziej aktualne:

„F. B. pow. Jasło, obszar 2,59 ha, 14 osób. Długu posiadam 2.500 zł. Dług zaciągnąłem na dożywienie rodziny i na poprawę budynków. Długu tego nie spłaciłem, bo rady nie dam, 14 ludzi wyżywić z 3-ch morgów i okryć, a w dodatku nie pracować nigdzie, to przychodzi zwariować. Mam dwóch synów zdolnych do roboty, ale w domu siedzą, bo roboty nie dostanie, choćby płakał przed dyrektorem i przedstawiał rodzinę i skromną gospodarkę. Nie ma żadnego względu. Chłopak jak pójdzie do dworu, aby coś zarobić, to od wschodu słońca do zachodu na takim najdłuższym dniu dostaje zapłatę 60 groszy, to wprost rozpacz bierze, bo za mały chlebuś trzeba zapłacić 20 gr. Jak można wychować, a o odzieniu nie ma mowy. Albo z czem ten chlebuś zjeść. Położenie wprost rozpaczliwe. Dług do połowy zmniejszyć, *zamożnych ludzi od roboty oddalić, aby dać możność zarobkowania biedniejszemu.* Jeżeli ojciec rodziny posiada mórg gruntu na głowę, to już może się obejść bez zarobkowania. *Bo takie położenie to jest i dla Państwa nie bardzo dobre i w przyszłości to da się odczuć,* bo *tak traktowany obywatel nie może być dobrym obywatelem i za tę nędzę nie może dzielnie walczyć w razie napadu,* bo zamożny zwieje zagranicę, a nędzarz zostanie aby bronił, a za co?".

„A. W. pow. Limanowa, obszar 2,30 ha, 8 osób. Długu nie posiadam prócz tych 20 zł., które pożyczyłem na przednówku i 5 zł. 69 gr., mam zapłacić podatku gruntowego, a te inne już zapłaciłem. Pożyczać nikt nie pożycza, ten, który jest dobrym Polakiem i uczciwym człowiekiem, bo z czego potem oddać jak tak źle, zarobić się nie da, bo nie ma gdzie, a choćbyś i zarobił, to tyle nie zarobi, aby się wyżywić i okryć jak człowiek, a i pożyczyć dzisiaj bardzo trudno......... Na wsi u nas bieda wielka — przednówek, chleba tośmy nie jedli chyba na święta. *Suchoty niemal w każdym domu.* Ludzie, zwłaszcza dzieci to tak wyglądają, jak po tyfusie, albo innej chorobie, blade, nierozwinięte, *jacy to ludzie wyrosną, jacy to będą żołnierze.* Źle jest, i to bardzo źle".

„F. F. pow. Podhajce, obszar 13 ha, osób 8. Na 60 gospodarstw, to nas jest dwóch takich, co nie mamy długów i mamy co jeść, a ci reszta to po prostu żebraki, ani się w co ubrać, ani co jeść". (Podkreślenia nasze).

---

[1]) A. S. Broda — Zadłużenie drobnych gospodarstw na dzień 1 lipca 1937 roku. Warszawa — 1938, nakładem P. I. N. G. W. w Puławach.

Nie mogę się też powstrzymać od uwagi, iż propagatorzy rozrodczości sami albo wcale dzieci nie mają, albo też bardzo skrupulatnie przestrzegają regulacji urodzin.

p. k.

PRECZ

Precz z Małym Rocznikiem Statystycznym. To świetne wielokrotnie na łamach Gospodarki Narodowej chwalone tanie, przejrzyste wydawnictwo, zaczyna być szkodliwe. Osiąga wpływ olbrzymi, niebezpieczny, właśnie, dlatego, że jest tak duży. Cyferki, zaczerpnięte z Małego Rocznika Statystycznego znajdujemy już nie tylko w wydawnictwach specjalnych, nie tylko w działach gospodarczych prasy codziennej. Mały Rocznik staje się natchnieniem publicystów politycznych, parlamentarzystów, ba, nawet literatów. Młodzież szkolna — to nie przesada — zaczytuje się w Małym Roczniku Statystycznym.

Piszący te słowa lat parę temu ubolewał nad małym rozpowszechnieniem wiedzy gospodarczej w społeczeństwie, nad tem, że szerszej opinii nie są znane nawet podstawowe dane, dotyczące rzeczywistości polskiej. Jakżeż pogodzić z tem powyższe utyskiwania? Bardzo po prostu. Okazuje się, że proste spopularyzowanie cyfr statystycznych daje namiastkę wiedzy o rzeczywistości, o bardzo wątpliwej wartości. Ileż razy stwierdzić musimy z żalem, iż autor, cytujący tę lub ową cyfrę, nie zdaje sobie sprawy z tego, że ta lub owa tablica statystyczna dotyczy nie całości pewnej dziedziny wytwórczości, ale np. zakładów o pewnej liczbie robotników, że nie odróżnia on dajmy na to obszaru użytków od powierzchni kraju i dziwi się, gdzie się podziała reszta, itp. itp. Szczególnie rozpowszechnionym błędem jest nie rozróżnianie cyfr, opartych o spis, o informacje korespondentów lub inne dane o charakterze reprezentatywnym, i wreszcie cyfr o charakterze bardzo dowolnych szacunków. Stąd też płynie bądź przecenianie ścisłości materiałów statystycznych, bądź też lekceważenie ich z chwilą, kiedy okaże się, iż ze względu na metodę zbierania danych stu procentowe uchwycenie rzeczywistości jest niemożliwe.

Trudno oczywiście winić za powyższe nieporozumienia główny Urząd Statystyczny i w żadnym razie nie należy z ich powodu wyrzekać się Małego Rocznika. To też gotów jestem cofnąć hasło „precz z Małym Rocznikiem Statystycznym" i zastąpić je propozycją chyba wykonalną. Mam na myśli prośbę do G. U. S. o dołączenie do najbliższej edycji Małego Rocznika krótkiego 20 — 30 stronicowego objaśnienia, wskazującego na metodę uzyskiwania i opracowywania najważniejszych danych GUS'u, informującego o stopniu ścisłości poszczególnych cyfr statystycznych, a przede wszystkim o tem, kiedy wolno posługiwać się niemi jedynie dla pochwycenia dynamiki pewnych procesów, kiedy zaś należy im przypisywać większą ścisłość i wartość.

Przy okazji jeszcze jedna uwaga. Stały wzrost systematycznych opracowań statystycznych ma, zwłaszcza w warunkach polskich, gdzie przyczynkarstwo naukowe jest mało rozpowszechnione, pewną nieuchronną stronę ujemną.

Statystyka niewątpliwie nie zastępuje opracowań monograficznych. Tem niemniej, tak to już jest na świecie, że im łatwiej w publikacjach czysto statystycznych odnaleźć oświetlenie pewnych zagadnień, tem mniejszy jest prąd do korzystania i opracowywania monografii informacyjnych, wykraczających poza materiał cyfrowy. Myślę, że jest to zjawisko dość charakterystyczne dla doby obecnej w Polsce.

c. k.

BADANIA NAUKOWE

Kwestię pomocy dla naukowych badań ekonomicznych podejmowaliśmy jeszcze w okresie depresji, stając w ich obronie w czasie przeprowadzanych wówczas oszczędności budżetowych. Dziś, wobec wzrastających dochodów ponownie zwracamy uwagę na to zagadnienie, gdyż nie straciło ono nic ze swej aktualności, do tego stopnia, że możemy dosłownie powtórzyć nasze argumenty z roku 1934:

...A więc przede wszystkim należy stwierdzić, że szczupłe badania ekonomiczne, prowadzone w latach ostatnich, nie wyjaśniły nam dostatecznie ani procesu zrośnięcia się trzech zaborów w jedną całość, ani przebiegu życia gospodarczego w okresie niepodległości, łącznie z wszelkiemi konsekwencjami tych obu rzeczy dla obecnego stanu naszej gospodarki. Co gorsza, na skutek nikłych możliwości placówek badawczych, zmuszone są one ograniczać się dziś do najpilniejszych zagadnień, zostawiając na uboczu badanie przeszłości, w której wszak teraźniejszość tkwi swymi korzeniami. Również i znajomość teraźniejszości, w oderwaniu od przeszłości, pozostawia wiele do życzenia. Równocześnie ze stałym, systematycznym kurczeniem się pracy naszych instytucyj badawczych (dodajmy, że z pośród wyższych uczelni bardzo nieliczne tylko uważane być mogą za placówki nie tylko pedagogiczne, ale i badawcze), skomplikowała się rzeczywistość gospodarcza polska, uległa szeregowi zmian przedkryzysowych, a następnie i kryzysowych. To jedna strona medalu. Druga natomiast, to wzrastająca potrzeba naukowej, ścisłej znajomości rzeczywistości gospodarczej Polski. Rozwój interwencjonizmu, coraz szersze zadania, obejmowane przez politykę państwową, nakładają wręcz obowiązek rozszerzenia badań naukowych, jako gwarancji przed posunięciami gospodarczymi, nie opartymi na dostatecznej podbudowie. Tendencje, jakże słuszne, nowego kierunku naszej polityki gospodarczej, wzmagają jeszcze potrzebę stwarzania naukowej podstawy. Przy braku tej podstawy bowiem polityka gospodarcza podpadać może bardzo łatwo pod wpływy ośrodków, nie reprezentujących interesów *najsłuszniejszych*, ale *najsilniej* broniących interesów grup *najsilniejszych*.

Nie ma matematycznej współzależności pomiędzy dobrą, naukową znajomością rzeczy, a dobrą polityką gospodarczą. Pierwsze nie gwarantuje jeszcze drugiego. Ale nieznajomość, brak dostatecznych badań naukowych, jeśli nie wyklucza, to conajmniej kolosalnie utrudnia prawidłową linię polityki gospodarczej.

REKLAMA NEGATYWNA

Przyjemność obejrzenia obrazu w kinematografie jest — przynajmniej w Warszawie — zawsze złożona. Poprzedza ją bowiem poddanie się bardzo przykrej operacji przymusowego obejrzenia reklam, na które tylko niekiedy, przy mniej zrezygnowanych nastrojach, publiczność reaguje w sposób właściwy, tj. tupaniem i gwizdem. Zazwyczaj ludzie wiedzą i cierpią w milczeniu, mniej cierpliwi wychodzą nudzić się i stać niewygodnie w poczekalni; zawsze to lepiej, aniżeli męczyć się przymusowym oglądaniem owych „reklam".

Dlaczego słowo „reklam" napisałem w cudzysłowie? Dla tej samej przyczyny, dla której uważam za słuszne na te obrzydliwe funkcje X Muzy zwrócić uwagę w czasopiśmie *gospodarczym*.

Mianowicie doceniam rolę reklamy, jej rolę, oczywiście, gospodarczą. Więcej nawet: bardzo lubię dobrą reklamę i osobiście, jako skromny nabywca, chętnie się jej sugestiom poddaję. Natomiast naszej reklamy kinowej zdecydowanie nie lubię i napewno w tem nie jestem odosobniony, bo jest bardzo a bardzo zła. Przeto ocenić mogę rolę gospodarczą reklamy kinowej jako mającą niejaką ważność bezwzględną — zdecydowanie negatywną — i jako bardzo charakterystyczny objaw gruntownie bezmyślnego działania gospodarczego. Krótko mówiąc i nie unikając nazw i nazwisk: nigdy w życiu nie kupię kapelusza u Młodkowskiego; raczej brodę zapuszczę, aniżeli ogolę się brzytewką Polo. Wbito mi w pamięć te firmy, co było celem reklamy. Ale wbito mi je w pamięć jako coś, co mi ustawicznie i od dawna czyni przykrość i do czego mam prawo odnosić się niechętnie. Pozatem miałem prawo powziąć b. ujemne wyobrażenie o zdolnościach handlowych tych firm na odcinku umiejętności reklamowania, mam więc prawo odnosić się krytycznie do jakości ich usług. Oto przykład *skutecznej reklamy negatywnej*, reklamy pisanej w cudzysłowie.

Ze strony pp. właścicieli kin te nudne okropieństwa reklamowe są dowodem lekceważenia ich klienteli. Nie rozumiem, jak ci panowie mogą się godzić z tupanym i gwizdanym protestem swej publiczności, która przecie powinna się czuć dobrze w przedsiębiortswie rozrywkowym. Nie rozumiem, czemu któryś z tych panów nie wpadnie na pomysł wypisania na swych drzwiach jaskrawym napisem „reklamami nie męczę swych gości". Toż byłaby skuteczna reklama, dająca bodaj więcej zysku, niż opłaty za „reklamę".

Ze strony pp. przedsiębiorców „reklamujących" swe usługi dopatrywać się należy braku szacunku dla swej firmy, idącego w parze z zupełnym niezrozumieniem czem jest reklama. Jest co najmniej naiwnością przysparzanie sobie złej opinii, niechęci, a więc i szkód — za drogie pieniądze.

Obie więc strony — zarówno pp. właścicieli kin, jak i pp. właścicieli firm reklamujących się — wykazują brak t.zw. kultury gospodarczej i to objawiającej się w sposób szczególnie niekulturalny.

w. a. w.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40,